№ 16.

Bióro Redakcji przy ulicy Solnej Nr. 715, w Warszawie.

Prenumeratorowie stali **Opiekuna Domowego**, — nadsyłający prenumeratę wprost do Redakcji, otrzymują w dodatku **Czytelnię Domową**, zawierającą w sobie wybór powieści, romansów, dramatów i tym podobnych dzieł treści belletrystycznej.

OPIEKUN DOMOWY

Warszawa, dnia 7 (19) Kwietnia 1871 roku.

ROK VII.

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. $11\frac{1}{4}$, oraz za opakowanie i ekspedycję kop $33\frac{3}{4}$). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda Hösicka, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u **Leitgebera**, — *we Lwowie* u **Wilda Karola**, *w Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

SEWERYN GOSZCZYŃSKI.

(Szkic bijograficzno-literacki).

Rzecz napozór dziwna a jednak pewna, że Goszczyński pomimo całéj potęgi swego talentu, pomimo całéj donioslości swych idei, nietylko nie został dotąd należycie ocenionym, ale nawet jest mniéj od innych naszych poetów znanym. Wielki duch wieszcza jakkolwiek żyje ciągle w pamięci ogółu, jakkolwiek pamięć ta szlachetne jego czoło otacza wieńcem zasłużonéj chwały, jednak rzadko kto wpatrzył się w to promienne oblicze, rzadko kto rozsunął szarą mgłę która go spowiła. — Fakt ten jednak przestaje być niewytłumaczonym, jeżeli mu się przyjrzymy uważniéj. Niepopularność bowiem i odosobnienie Goszczyńskiego, spoczywają poczęści w tém samém, w czém i jego wielkość, t. j. w rodzaju i kierunku jego talentu, poczęści zaś w jego wadach—mistycyzmie i ułomności artystycznéj. Dotkniemy, o ile ramy pisma pozwolą, i pierwszgo i drugiéj; przedtém jednak przebiegniemy pokrótce całą koléj życia poety.



Seweryn Goszczyński.

Goszczyński urodził się r. 1803. Jest więc prawie rówieśnikiem Bohdana Zaleskiego, który od niego tylko o rok jest starszym. Miejscem rodzinném jego są Ilińce, w powiecie Lipowieckim, gubernji Kijowskiéj. Najpierwsze wykształcenie odebrał w Międzyrzeczu u Pijarów, a następnie w Wiśnicy. W Humaniu, gdzie ukończył szkolną naukę, kolegował z Bohdanem Zaleskim, Michałem Grabowskim i Aleksandrem Grozą. Od r. 1829 stale zamieszkał w Warszawie, zawiązawszy stosunki silnéj przyjaźni z Maurycym Mochnackim, Stefanem Witwickim i J. K. Ordyńcem, redaktorem *Dziennika Warszawskiego*. W tém piśmie drukował niektóre ustępy z *Zamku Kaniowskiego*. Kiedy ukazały się pierwsze płody wielkiego Adama, przyjęto je z szyderczą naganą. Wśród jednak téj obłędnéj massy ówczesnych klassyków, rozwijały się nowe ideje, w maleńkiém gronku młodzieńców, którzy pamiętając stepy Ukrainy, pieszcząc wspomnieniem tęskną nutę jéj pieśni, zrozumieli potężny śpiew wieszcza. Byli to: Bohdan Zaleski, Michał Grabowski i Seweryn Goszczyński. Z tych prawie jeszcze dziecinnych ust, wyszło pierwsze słowo uwielbienia dla geniuszu, który miał wkrótce jak piorun spaść na głowy klassyków i jak piorun rozedrzeć ciemną chmurę ich myśli. W roku 1831 udał się Goszczyński do Galicyi, gdzie czas jakiś przepędził, zajęty studiowaniem życia i obyczajów karpackich górali, jak również zbieraniem miejscowych podań. Owocem tych badań był naprzód, *Dziennik Podróży do Tatrów*, a następnie poemat opisowy, *Sobótki*. Do téj epoki również odnieść należy dwie powiastki prozą: *Król Zamczyska* i *Straszny strzelec*. W r. 1834, przeniósł się do Francyi i osiadł w Paryżu, gdzie stale zamieszkał. Tutaj rozpoczął się nowy zwrot w życiu duchowém poety, zwrot moralnego rozkładu, stępienia i obłąkania myśli, omdlenia zapału — jedném słowem, zwrot do mistycyzmu, do wiary w prawdę proroctw i messyjanizmu Towiańskiego. Wszystkie też utwory odnoszące się do tego okresu (Robert Djabeł) noszą na sobie piętno upadku olbrzymiego ducha, nie przypominając nawet swą ruiną jego wielkości. Aleksander Groza tak opisuje w swym pamiętniku naszego poetę: „Goszczyński wzrostu dość wysokiego, blondyn, twarzy ospowatéj, jak on nazywał rabéj, ale przyjemnéj, oczów niewielkich, żywych. Przed naszą stancyą leżał duży kamień. Goszczyński wchodząc zawsze musiał skrzesać ognia podkówkami. Nosił bajówkę koloru p i e r n i k o w e g o. W grach: mecie i palancie réj wodził. Piłka silną jego dłonią puszczona, leciała trafnie i daleko.“ Przypatrzmy się teraz liczbie i wartości prac Goszczyńskiego. Do utworów prozą, oprócz *Dziennika Podróży do Tatrów* (Petersburg 1853), który stanowi jak gdyby studia przygotowawcze do poematu *Sobótki*, należą jeszcze trzy niewielkie, fantazyjne powiastki: *Oda*, *Król Zamczyska* i *Straszny strzelec*. Pierwsza z nich rozwija się w czasach Bolesława Chrobrego. *Oda*, świeżo nawrócona chrześcijanka, jest żoną dzielnego *Gromwida*. Nieszczęsna wojna wyrwała rycerza z objęć pięknéj i czułéj małżonki. Oda długo rozpaczała po wyjeździe męża; codziennie chodziła dumać w dzikich, samotnych wąwozach. W czasie jednéj z takich wycieczek, usłyszała tęskny śpiew, któremu towarzyszyły słowa namiętnéj miłości. Od sługi dowie-

działa się, że śpiew ten wychodzi z niedalekiéj pieczary, w któréj mieszka jakiś tajemniczy pustelnik, posiadający czarnoksięzką moc ukazywania zmarłych lub oddalonych osób. Młoda kobieta z początku przestraszyła się tą opowieścią—wkrótce jednak postanowiła udać się do pustelnika z prośbą, ażeby jéj ukazał męża. Tajemna jednak wycieczka do pieczary, musiała się powtórzyć razy kilka, bo pustelnik domagał się koniecznie pozostawienia w domu wszelkich świętych znaków, jako głównéj przeszkody skuteczności czarów. Oda długo się sprzeciwiała tym pogańskim namowom, długo opierała się wybuchom namiętnéj miłości uwodziciela, aż wreszcie zbrakło jéj sił do zwalczenia tych dwóch prądów. W chwili jednak gdy miała się mu poddać, w pieczarze zjawia się — Gromwid. Przestraszona Oda ucieka. Naprożno, uwiadomiony o wszystkiem rycerz, szuka lubéj małżonki. Znalazł ją wreszcie ale — martwą. Drobny ten utworek, nie mający ani widocznego celu, ani odpowiedniéj barwy historycznéj w swém tle, ani wierności w szczegółach, odznacza się porywającym wdziękiem formy i nieporównaną przejrzystością kolorytu poetycznego. O wiele słabszą, bo cudaczną w samym nawet pomyśle, jest druga powiastka: — *Król zamczyska*. Wyższym natomiast, choć niepełno rozwiniętym, jest fragment: *Straszny strzelec*, którego treść poczerpnięta częścią z podań góralskich, częścią zaś jest historyczną. W *poezyi*, Goszczyński zwrócił się wyłącznie w dwóch kierunkach: *lirycznym i opisowym*. I w pierwszym i w drugim talent jego zarysował się świetnie,—w obudwu jednak rodzajach nie stanął na wysokości skończonego artysty. Liryzm jego przytém zawsze jest czysto męzki, niewywołany bynajmniéj drobnostkowością lub powszedniością przedmiotu, pozbawiony uczuć topniejącego w zwykłych pragnieniach serca, ale zawsze rozpięty na motywach bardziéj ogólnych, podnioślejszych. Niekiedy tylko zwraca się z swą pieśnią do jednostki—a zwykle uwielbia lub przeklina, kocha lub nienawidzi — całe milijony. Czasem tylko zstępuje na chwilę z wysokich sfer swego marzenia na ziemię — czasem tylko oprawia w ramy swego potężnego słowa, jaśniejsze lub powszedniejsze chwile ludzkiego życia. Dla pokazania do jakiéj miary artystycznéj dochodzi talent jego, w takich razach, przytaczamy śliczny wierszyk:

SKRZYPEK NA KSIĘŻYCU.

Nie uwierzycie, kochani moi,
Jak ona rada się pieści,
Jak niezrównany jéj dowcip niewieści,
Kiedy chcąc pieszczot, wydać się z tém boi.
Jednego, pomnę, letniego wieczora,
Siedziemy sobie tylko we dwoje.
Jakiejś głębokiéj zadumy zmora,
Spadła na oczy i myśli moje—
I zapomniałem przyznam się szczerze,
Żem miał kochankę przy boku.
Nad nami księżyc w całym uroku—
Jaśniał na czystym szafirze -
Przed nami obszar cudnéj okolicy,
Oblany nocy miesięcznéj ogniami,
Leżał w tém pierwszém drzemaniu dziewicy,
Które niekiedy drga miłości snami;
Alem ja na nic nie dawał baczenia,
Aż mię jéj głosek wyrwał z zamyślenia:
— Śliczna noc!—rzecze moje dziewczątko—
— Ale śliczniejszy ten krąg księżycowy,
Ty nie wiesz luby, on mi jest pamiątką
Ważnéj, o! bardzo ważnéj rozmowy.
Znałam ja pewną dobrą staruszkę,
Głośną w naszych stronach wróżkę.
Byłyśmy, jak dziś jesteśmy, sami,
Jak dziś goniłam księżyc oczami,
Bo od dzieciństwa mojego,
Dziwniem lubiła, nie wiedząc dla czego,
Patrzeć się w jego obłoczek.
— W co się tak patrzysz panienko!
Przemówiła do mnie wróżka.
— W twoich oczkach cała duszka,
Jak żeby przez to nieba okienko,
Śmiał się aniołek do twoich oczek.
— To prawda matko, ciekawam co znaczą,
Te niby chmurki w księżyca szybce?
— Różni różnie to tłumaczą,
Ale mędrsi powiadają,
Że to jest człowiek i trzyma skrzypce.
— Grająż te skrzypce?—A jakże, grają.
— Jakbym ja rada słyszeć to granie!
— Ty już je słyszysz, moje kochanie,
— Tylko że jeszcze nie znasz się na niém,
Wszak prawda, lubisz taką noc jasną,
I przebyłabyś całą niespaniem,
Dopóki oczy księżyca nie zgasną?
Tobie się zdaje, że blask promyka,
Że świeżość nocy twą duszę drażni...
A to tych skrzypców muzyka...
Póżniéj posłyszysz wyraźniéj.
— O matko moja, kiedyż to będzie?—
— Kiedy noc taka, jak ot, ta nadejdzie,
A ty siądziesz do księżyca,
A przy tobie chłopiec siędzie,
A w chłopczyny tego lica,
Ten z księżyca skrzypek wejdzie,
A chłopiec w ogniu, w milczeniu,
Wciśnie swe usta między dłonie twoje,
A ty mu głowę oprzesz na ramieniu,
A będzie to poeta!—wówczas dziecię moje,
Zrozumiesz księżyca granie,
Bo skrzypek z księżyca,
Będzie, będzie przy tobie tuż!...
Lube, dziewicze zmięszanie
Zgłuszyło ostatnie słowa.
— I jakże? rzekłem—staruszki gadanie
Czy się już sprawdziło?—Już—
Zcicha wyjąkła—i kochana głowa
Zwisła na mojém ramieniu...
Jam cały stanął w płomieniu,
Schwycił jéj obie dłonie w milczeniu—
Wcisnął w swe usta—i takeśmy daléj—
Skrzypców księżyca słuchali.

Wiersz ten jednak, pomimo całéj poetyczności pomysłu, pomimo pociągającego wdzięku słowa, pomimo nakoniec swéj wyższości nad inne—nie ma skończonéj artystycznéj formy.

(dok. nast.)

WYCIECZKA W GŁĄB SERBJI,
1869 roku.

przez

WŁADYSŁAWA KOZŁOWSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

— Prawdziwie... byłoby to dla mnie wielką przyjemnością ale... furman mój nie może zwlekać z odjazdem, gdyż ma sobie oznaczony termin powrotu.

— A więc odpraw go pan, niech jedzie sobie, pan zaś wsiądziesz wraz ze mną na moję bryczkę... pan mi subiekcyi nie zrobisz, a będzie nam obojgu wygodnie.

Ton, w jakim wyrzeczone zostały powyższe wyrazy, był téj natury, że najodważniejszego nawet w podobnych wydarzeniach człowieka mógłby przestraszyć, a co najmniéj, to skłonić go do przedsięwzięć chociażby najbardziéj desperackich. Co bowiem może być okropniejszego nad starą, brzydką, zapoznającą wszelkie względy zalotnicę, która się tak znałogowiła do kokieteryi, że w braku ludzi gotowa się mizdrzyć do.... zostawiam resztę domyślności czytelników.

Odpowiedziałem jéj też sucho ale stanowczo:— Pani, zadatek dałem, zresztą—muszę się spieszyć.

Mówiąc tak, zdecydowany byłem w duchu nawet w takim razie wyjeżdżać, gdyby z powodu wielkości beczki wypadło mi na jéj wierzchu obrać sobie siedzenie.

Zwrócone do mnie w téj chwili słowa inżyniera, który nie znając francuzkiego języka, nie wiedział jaka była treść rozmowy mojéj z wołoszką, uwolniły mię od dalszego wymawiania się. Zresztą stanowczość i suchość méj odpowiedzi zrozumiała wołoszka i — obraziła się. Jakoż po chwili wyszła z sali do swego pokoju. Mocnom się ucieszył z tego epilogu naszéj nieproszonéj ani dziękowanéj znajomości. Ale... otóż i mój furman nadjechał a więc w drogę.

Pożegnawszy się z inżynierem, rozpłaciwszy się z gospodarzem, który mniéj mię zdarł, niżlim się spodziewał, wiedząc że mam do czynienia z Rumunem, schwyciwszy w jedną rękę tłomoczek, a parasol w drugą, wybiegam na ganek. Patrzę — otucha wstąpiła w mę

serce. Beczka w rzeczy saméj nie była wielka i mógłem nawet wygodnie uplacować się na wózku. Wsiadam.

S Bogom srečny put! (szczęśliwéj drogi) wołają mi na drogę.

Chwala! (dziękuję) odpowiadam.

Jedziemy.

Droga idzie środkiem miasta; tuż za Milanowcem zawraca się w bok i spina się zygzakiem na górę, do 2000 stóp wysokości nad p. m.

Po półgodzinnéj, powolnéj, jak tylko być może w takich okolicznościach, jeździe, gdyśmy byli na jakie 800 stóp nad Milanowcem, spozieram na górę, kędy zawracała się droga i w téj saméj chwili doznaję wrażenia, które chcąc określić, musiałbym chyba powiedzieć że była to encyklopedya, jak powiada Dickens, wszystkich uczuć, jakie tylko może człowiekowi natchnąć grożące życiu niebezpieczeństwo.

Jakiego to rodzaju niebezpieczeństwo było? zapytacie zapewnie. Niebezpieczeństwo to nazwałbym bardzo zwyczajném, gdyby nie to, że było nadzwyczajném. Było ono z tego względu zwyczajném, że było to nie co innego, jak jeden z owych mostków, o których nadmieniłem wyżéj, lecz jednocześnie było ono i nadzwyczajném, gdyż takie mostki do nader rzadkich potrzeba zaliczyć fenomenów, że już nie zaliczę ich do cudów, coby niezawodnie zrobiła wszelka pobożna dusza na mojém miejscu, a to dla tego, że tylko cudem wytrzymywać on może ciężar przejeżdżających wozów. Proszę sobie bowiem wyobrazić przerwę w drodze, utworzoną przez potok górski, szeroką łokci dwa, może więcéj, nie tyle głęboką, ile spadzistą, a ktoby w nią wpadł, nie wstałby — aż na Józefata dolinie; nie przypuszczam bowiem, ażeby mógł wstać w przyległościach Milanowca, dokądby z niepożądaną poturbacyą zatoczył się niezawodnie,—nad tą przerwą kilka ruchomych patyczków, z jednego na drugi brzeg przerzuconych, mających za jedyny punkt oparcia obsypujące się brzegi przerwy i kilka podpór, dla formy tylko ustawionych pod tym zaimprowizowanym mostkiem, z takichże samych jak ten ostatni patyczków.

Im więcéj zbliżałem się do tego mostku, tém większéj doznawałem trwogi, jakby to był ów most z bajki Lafontena, co to się miał zawalić pod kłamcą, a ja—owym prawdomównym, który z powodu téj właściwości mostu, bał się przez niego przechodzić. Chciałem właśnie wezwać mego milczącego dotąd Rumuna, by się zatrzymał na chwilę, chcąc wysiąść i piechotą przejść mostek, co uważałem za bezpieczniejsze, i właśnie namyślałem się w jaki sposób na migi rozmówić się z niemową, co żadnym ludzkim językiem nie mówi, oprócz rumuńskiego, gdy ku wielkiemu memu zdziwieniu mój *koczyjasza* przemawia do mnie po serbsku, radząc, ażebym wysiadł przed mostkiem.

Uczyniwszy to z pośpiechem, którego zalecenie byłoby zbytecznem, zapytuję furmana:

— *Dakla goworisz srbski* (a więc mówisz po serbsku)?

— *Malko, gospodynie* (trochę, panie).

Okoliczność ta, że przecie będę mógł w ciągu podróży choć kilka słów zamienić z człowiekiem, uradowała mię ogromnie, chociaż znając zamknięty w sobie i podejrzliwy umysł Rumunów, niewiele liczyłem na gawędę i obszerniejszą *z koczyjaszem* swym rozmowę. Pod tym względem stanowią Rumuni wyraźne przeciwieństwo z Serbami. O ile ci ostatni chętni są do gadania i mają nawet dar wymowy, o tyle Rumuni są milczący i niełatwo dają się wciągnąć do rozmowy. Podejrzliwi są i Serbowie; podejrzliwość wszakże tych ostatnich, mając powody polityczne, jakkolwiek stanowi ważną przeszkodę w rozwoju życia towarzyskiego, skłonności ich do gawędzenia i rozmowy nie hamuje.

Mostek przejechaliśmy szczęśliwie, a po dwóch godzinach windowania się stanęliśmy nareszcie na wierzchołku góry. Było to około dziewiątéj godziny. Niebo ujrzeliśmy nad sobą czyste, po którém poważnie toczyło się słońce i tylko pojedyncze, małe chmurki, lekkie, jak gazowa zasłona, białe, jak puch łabędzi, unosiły się w powietrzu, już to czepiając się wierzchołków gór, już przesuwając się nad spokojną powierzchnią Dunaju, albo też strokami gór staczając się w doliny i zalegając je niby zaspy śniegowe. A cały ten ruch białych chmurek odbywał się poniżéj nas, sprawiając przez to niewypowiedzianie dziwny efekt.

W dole, u stóp góry, na któréj wierzchołku właśnie znajdowałem się, leży Milanowac, widny cały jak na dłoni. Widzisz ruch ludzi, dostrzegasz gromadkę rozmawiających, rozróżniasz gestykulacye pojedyńczych osób, nadstawiasz uszu, ażali nie doleci cię głos jaki—nie słyszysz nic. Ten ruch ludzi i zwierząt, uważany z wysokości, dokąd żaden gwar nie dolata, ruch niemy, martwy, powiedziałbym obdarty z tego uroku życia jaki głos mu nadaje, dziwnie tajemnicze i uroczyste robi wrażenie. Zdaje się, że widzisz przed sobą poruszający się świat cieniów, szereg obrazów, z latarni czarnoksięzkiéj.

Niżéj Milanowca przepływa poważny, milczący i nieruchomy prawie, gdyby nie hustane przez fale czołna na brzegu,— Dunaj, który się wije ciemno-błękitną wstęgą i gubi się w załomach skał głębokiego łożyska.

Ponad Milanowcem i ponad Dunajem wznosi się pasmo gór, których wierzchołki, piętrzące się jedne nad drugimi, o najrozmaitszych kształtach i najrozmaiciéj zacieniowane, przedstawiły się memu oku, jako olbrzymia massa pagórków ginących w mgle oddalenia i łączących się z niebem, niby ocean skamieniały, w chwili największego rozbujania swych fal. W miarę jak postępowałem daléj swoją drogą i zmieniałem przez to punkt widzenia, i panorama widoków zmieniała się, przypominając mi kalejdoskop, w którym te same szkiełka za każdém poruszeniem, w coraz się nowe desenie układają.

Gdy tak jadąc grzbietem góry nasycałem się widokiem dotąd dla mnie małoznanym, zalatuje mnie z dołu głuchy jakiś odgłos. Spozieram w stronę Dunaju, to statek wychyla się z zagięcia ścian łożyska Dunaju. Ruch statku miarowy, smugi pieniącéj się fali, która zdala za nim ciągnie się, pasmo dymu i buchająca od czasu do czasu, to sadza czarna, to biała para ogromnymi kłębami, wszystko podziałało to na moję wyobraźnię tak, że w statku począłem sobie wyobrażać jakiś potwór płynący, jedno z owych straszydeł morskich, od których żarłoczności, średniowieczni poeci, kazali błędnym rycerzom wybawiać prześladowane od czarnoksiężników piękności. Przypomniała mi się w téj chwili scena z Aryosta, i rozmażonem okiem począłem szukać gdzieby mogła być uwiązana do skały Angelika, godna tego, by pofatygować się ku jéj ocaleniu.

Z błogiego rozmarzenia się, w którém identyfikowałem się z sławnej pamięci Rolandem szalonym, wyrwał mię głos furmana zapytującego, czy nie chcę napić się wina, które miał w drewnianym butlu.

Podziękowałem memu furmanowi gościnnemu za jego uprzejmość, oświadczając, że wino tylko po obiedzie piję. A chcąc się ostatecznie otrząść z rozmarzenia, jak również przekonać siebie samego, że gry wyobraźni ani na jednę chwilę nie brałem za rzeczywistość, zapytałem go, co to za statek być może—pytaniem tém sprowadzając umysł swój do warunków rzeczywistości.

Cała droga do Majdan-Peku ciągnię się, można powiedzieć, stokiem o bardzo łagodnéj pochyłości jednéj i téj saméj góry, a raczéj pasma gór Pekskich. Stok ten, zaginający się w doliny, to znowu wznoszący się wzgórzami i pagórkami, pokryty jest lasem, w którym dębina przeważa.

Jadąc tedy tak daléj ze swym kaczyjaszą, rzeczonym lasem, który coraz stawał się większym, chociaż porównywać go nie można nawet z naszymi lasami, gdzie olbrzymie dęby i wyniosłe sosny nadają tyle majestatyczności — natrafiliśmy na bandę cyganów, koczujących tuż przy saméj drodze. Przyznaję się szczerze, że widok téj zgrai na pół nagiéj, zdziczałéj, o czarnych, błyszczących oczach, w miejscu tak odludném, niemiłe zrobił na mnie wrażenie. Trzeba bowiem wiedzieć, że najliczniejszy kontyngens zbrodniarzów dostarczają w Serbji właśnie Cyganie i Rumuni. Pomiędzy Serbami trudno się spotkać z rzezimieszkiem. Serbowie, jeżeli popełniają zbrodnię, to tylko w kłótni, w uniesieniu, a raczéj w zaciekłości, do któréj są skłonni. Jeżeli bywają hajducy w Serbji, to po większéj części rekrutują się ze zbiegłych więźniów, albo ludzi, którzy dokonawszy zbrodniczego czynu z zemsty, w hajductwie jedyny sposób do życia znajdują.

Cyganów w ogóle liczą w Serbji do 6,000. Dzielą się oni na dwie kategorye: na osiadłych i koczujących. Charakter ich i tryb życia jest ten sam co i u naszych. Kują konie, wyrabiają drewniane naczynia, jako to: niecki, łyżki i t. d. handlują drobiem, przędziwem, nareszcie kradną, wróżą i po szynkach grają na skrzypcach, przy wtórze bębna.

Cyganie, których nadybaliśmy w lesie, należeli do rodzaju owych, co wyrabiali naczynia drewniane.

Po sześciu godzinach dość nudnéj, bo monotonnéj, a do tego powolnéj jazdy, z powodu, że musieliśmy to windować się na góry, to spuszczać się znowu w doliny, gdyśmy byli na dość znacznéj wyniosłości, dostrzegam w dole, z za węgła góry, wychylające się dwa rzędy białych i porządnych chat.

— Czy to jest Majdan-Pek?—zapytuję z niedowierzaniem.

— Nie, to jest *Rajkowa*.

Ucieszyłem się w każdym razie z napotkania w tém tak odludném miejscu, gdzie po sześciu godzinach jazdy, oprócz cyganów, żadnéj ludzkiéj duszy nie spotkaliśmy, czegoś, co mi przypomniało świat boży. Jakież było moje zdziwienie, gdy wjeżdżając w sam środek téj sadyby, mającéj do sześćdziesięciu, jeżeli nie więcéj chat, dostrzegłem, że wszystkie te chaty stały pustkowiem, że w całéj sadybie ani jednéj żywéj duszy nie ma. Niezawodnie, że do przykre-

go wrażenia, jakiego doznałem na widok tych chat z powybijanemi oknami i otwartemi drzwiami, wiele przyczynił się zawód, w nadziei spotkania się z ludzkiemi twarzami; wyznać wszakże trzeba, że sam widok téj sadyby, gdzie zniszczenie i pustka rozgospodarowały się, smutnie oddziaływać musi na wyobraźnię człowieka, która będąc sama życiem w największéj potędze, we wszystkiém, co nosi na sobie cechę śmierci, nicości, znajduje zaprzeczenie siebie.

— Co to jest? czy nikt tu nie mięszka? czy zaraza wygnała ztąd wszystkich mieszkańców?—zapytuję zdziwiony.

Mój koczyjasza, skąpiący zawsze wyrazów, jakby je oceniał na grosze, w kilku słowach objaśnił mię, że sadybę tę zbudował rząd, osadziwszy w niéj węglarzów, że jednakże ci, znajdując miejsce dla siebie niedogodne, z powodu utrudnionych komunikacyj i wielkiego oddalenia od wody, niedługo w niéj przesiadywali, lecz całkiem ją opuścili, pomimo wielkich korzyści, jakie mieli sobie zapewnione od rządu.

(*dok. nast.*)

OPOWIADANIE STASIA.

POWIASTKA,

przez

T. T. Jeża.

Staś pozostał Stasiem na całe życie. Włosy mu posiwiały, wnuczęta go otoczyły, a ludzie wciąż mianowali go po imieniu zdrobniale. Pochodziło to zdaje się ztąd, że bohater niniejszéj powiastki, Stanisław R., przez całe swoje życie miał kogoś, co krokami jego kierował. Nie było w nim samodzielności—i pozostał nazawsze niepełnoletnim. Był to przytem człowiek dobry — choć do rany przyłóż, niegłupi i bywały, i posiadał dar opowiadania przygód własnego życia. Ta ostatnia zaleta czyniła go gościem nader miłym.

Jedno z jego opowiadań, z jego ust wyjęte, stanowi treść niniejszego pisania. Rzecz jest trochę przedawniona, odnosi się bowiem do tych czasów, w których dzisiejsze babunie były jeszcze młodziutkiemi panienkami.

Edukowałem się we Lwowie—prawił Staś —a edukacya moja, pożal się Boże! odbywała się, ot.... dla sławy. Czegoś to ja się tam niby uczył, ale mądrymby był, ktoby się był odemnie dowiedział: czego? Ponoś wszystkiego i niczego. Prawda, oddany byłem do stolicy nie po to właściwie, aby się uczyć, ale ażeby się opolerować, otrzeć w mieście, pozbyć szorstkości. Dla tego, z lekcyj, jakie pobierałem od różnych guwernerów, najmocniéj w pamięci utkwiły mi: muzyka, rysunki, tańce i fechtunek. Wszakże: z muzyki nie zostało mi nic, z rysunków jeszcze mniéj; z tańca skorzystałem tyle, żem nienajgorzéj wywiązywał się z mazura; z fechtunku zaś skorzystałem najwięcéj, bom oberwał pamiątkę na całe życie. Wbiłem się w dumę, stałem się zuchwały i zaczepiający; zrobiłem awanturę, do któréj namówili mnie przyjaciele, awanturę skandaliczną, o pannę Emilkę; pojedynkowałem się, zostałem plejzerowany i wypchnięty z towarzystwa dobrego tonu.

O! był to dla mnie cios straszny.

Szambelanic zmienił się od razu na nic.

— Nic, nic, szambelanie...—powtarzałem sobie w duchu, przykładając do rany kompresy z zimnéj wody.

— Gdzie jest zbrodnia, szukaj kobiety... — powiada przysłowie, któremi się posługują sędziowie śledczy we Francyi.

W moim wypadku, zbrodni—to jest, zbrodni wziętéj w znaczeniu kodeksowém — nie było. Była... awantura, wysnuta z tego życia próżniaczego, któremu u nas oddaje się dziewięćdziesiąt dziewięć na sto młodych ludzi, mających nadzieję, po najdłuższém życiu najukochańszych rodziców, odziedziczyć jaki taki majątek. Ten los zagrażał i mnie. Byłem jednym z owych dziewięćdziesięciu dziewięciu. Pieszczoch mamy, nadzieja tatki, dziedzic Kopystyńca Wielkiego i Kopystyńca Małego, położonych w bogatéj podolskiéj glebie, ocierałem się w mieście dla tego, żeby godnie piastować godność urodzenia się szambelanicem, synem szambelanica, wnukiem szambelanica i prawnukiem po kądzieli szambelana. Ocierałem się tedy, i... obtarłem się niechcący o Emilkę.

Był to w życiu mojém wypadek, jeden z tych, w którym spróbowałem samodzielności. Podobnych wypadków zdarzyło mi się więcéj. Lecz ten był pierwszym. Spróbowałem więc samodzielności i musiałem jéj orężem bronić.

Kiedy wspomnę sobie dziś, o jakie to głupstwo poszło — ha!... chce mi się splunąć—i tyle.

Ale pomimo to. Dość żem się musiał rąbać; oberwałem i musiałem się lizać przez całe trzy tygodnie. Nikt mnie nie odwiedzał, nikt do mnie nie zaglądał, wyjąwszy mecenasa K., który interesa mego ojca prowadził i mnie pensję wypłacał. Ten jednakże był maszyną nie człowiekiem — *paragrafem*, jak dziś zowią. Trzymał się litery poleceń, w których wyraźnie stało, iż powinien mnie nawiedzać w czasie choroby. Trzymał się też téj litery. W ciągu trzech tygodni nawiedził trzy razy, zawsze w jednym i tym samym dniu tygodnia, o jednéj i téj saméj godzinie. Przychodził, usiadał, nos ucierał i zapytywał:

— Jakże się masz Stasiu?

— Lepiéj, Bogu dzięki...

— To i chwała Bogu...

Siedział chwilkę, parę razy westchnął i powiadał:

— O młodzieży!... ha!... no!..

Potem jeszcze raz nos ucierał, wstawał, żegnał mnie do rychłego widzenia, w dobrém, daj Boże, zdrowiu i odchodził.

Zresztą nie odwiedzał mnie nikt. Świat o mnie zapomniał.

To też postanowiłem był zapomnieć o świecie. Lecz podobne postanowienie łatwiéj powziąść, aniżeli wykonać, zwłaszcza mając nie więcéj jak dwadzieścia parę lat. Chciało mi się Lwów opuścić, lecz do tego potrzebném było specyalne rodziców pozwolenie, którego dostanie nie przedstawiało trudności nie do przełamania, jednakże nie było bez pewnych trudności, o których usunięciu należało pomyśleć. Dla pomyślenia więc o téj rzeczy pozostałem we Lwowie osamotniony i samemu sobie zostawiony.

Położenie to miało w sobie dla mnie coś nienormalnego.

Osamotnienie zrazu wielce się mi podobało. Czułem się okrętem bez rudla, puszczonym na wolę żywiołów. Chodziłem i gapiłem się, albo raczéj bawiłem się w postrzegacza. Teatrem, na którym ta czynność mego umysłu się odbywała, były oczywiście: ulica i kawiarnie.

Opowiedzieć to wszystko, czém podówczas wiedzę moję wzbogaciłem, jest czystém niepodobieństwem. Szukam w pamięci—i pamięć osnuwa się jakimś chaosem, z którego wychyla się jedna tylko postać, a wychyla się tak jasno i wyraźnie, jakbym dziś żywemi patrzał na nią oczami. Bo też ta postać dała mi się we znaki. Widzę ją. Stoi przedemną. Wyobraźcie sobie człowieka dużego wzrostu, orlego nosa, siwych, grubemi brwiami zachmurzonych, oczów, zaczesującego do góry szpakowaciejące włosy, z wąsem ostro podkręconym i mocno nawoskowanym, szerokiego w plecach, wydatnego w piersiach, zbudowanego silnie i kształtnie. Stoi przedemną tak, jakem go po raz pierwszy zobaczył: z bilardowym kijem w ręku i z wysoką w rękach, na króciutkim cybuszku, fajką. Przeciwnik jego gra, on stoi i patrzy. Kij wziął na ramię, niby żołnierz broń, i pykając, puszcza z ust mimo wąsów błękitny dymek. Przeciwnik chybił—on się złożył, wyciągnął na bilardzie, zrobił bilę, wstał, znów się wyciągnął, znów bilę zrobił. W jego ruchach i złożeniu widać wprawę i wielką zręczność. Bile latają po zieloném suknie, robiąc dublety i triplety. Galeria podziwia. On na podziwienie nie uważa. Robi swoje, od niechcenia, nie wypuszczając z ust fajki. Nagle chybił i odstąpił. Miejsce przy bilardzie zajął jego przeciwnik, równéj z nim siły, ale nie taki szykowny. On wziął kij na ramię, stanął i fajkę palił.

Fajki tego rodzaju, zwane szemnicerkami, potrzebują częstego przytykania, które odbywa się, albo umyślnie do tego wynalezionym instrumentem, albo też w braku tego instrumentu, palcem. Nieznajomy nie posiadał potrzebnego instrumentu. Przytykał więc fajkę palcem. Robił to póty, póki się nie rozpiekła. Gdy jednakże poczęła palce parzyć, załatwiał tę rzecz w sposób nader oryginalny. Oglądał się po sali za Niemcem, szedł wprost do niego, brał go za rękę, ściskał mu garść, w ten sposób, że palec ukaziciel wystercza ł, i z najzimniejszą krwią niemieckim palcem w rozpieczonéj fajce szturchał. Naturalnie, Niemiec się gniewał. On na gniewne uwagi odpowiadał:

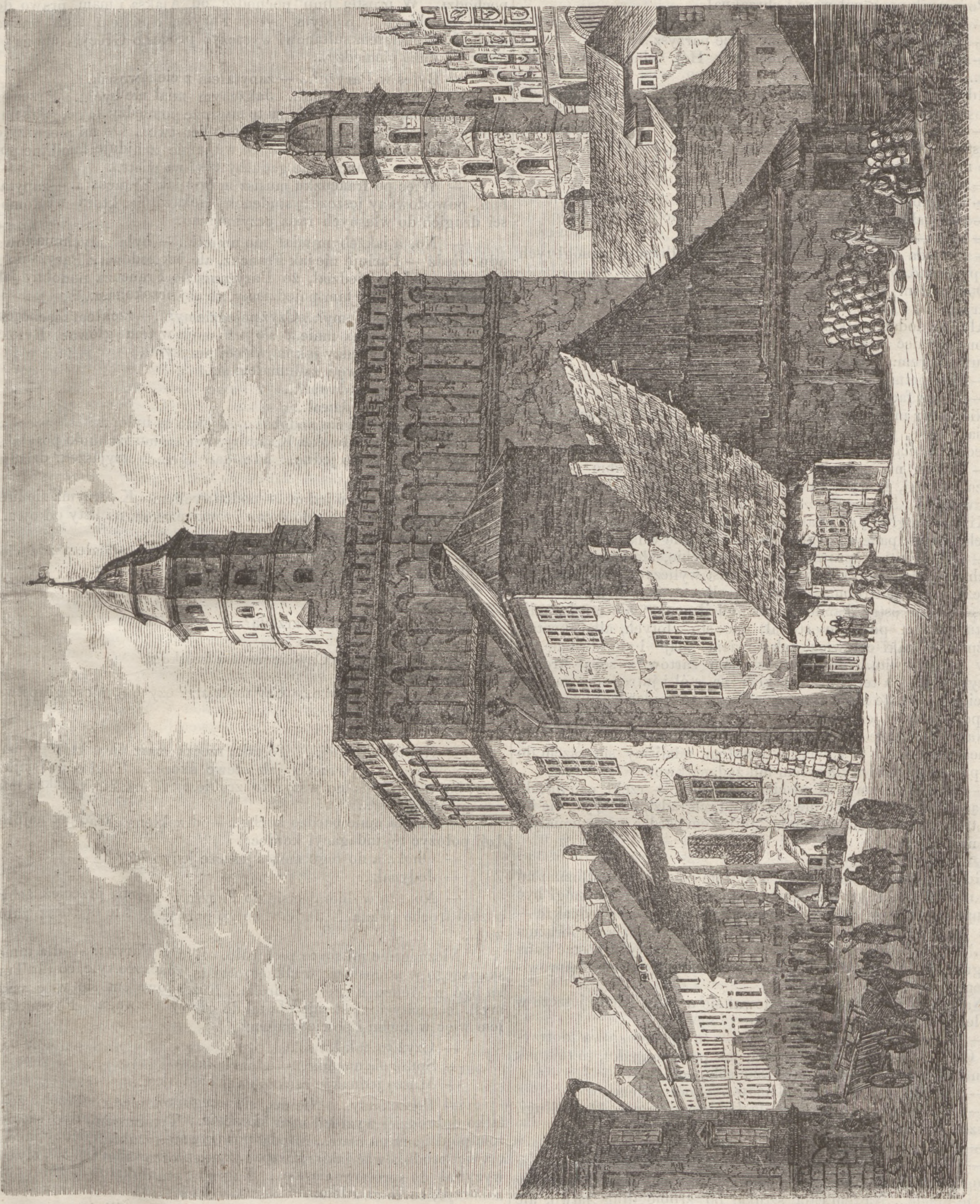
— *Gut, Freund...*

I najspokojniéj w świecie wracał do bilardu.

Ten człowiek mnie zafrapował. Widziałem w nim pewną wyższość, która mi zaimponowała. Jego szykowność, pewność sie-

bie i to bez ceremonji obchodzenie się z Niemcami, pociągały mnie ku niemu.

— O! gdybym też mógł się z nim bliżéj zapoznać... — pomyślałem sobie.



Widok Ratusza na Kazimierzu w Krakowie.

Snadź życzenie to w dobrą zostało wymówione godzinę, bo znajomość nastąpiła bardzo prędko. Z dowiedzeniem się, jak on się nazywa, nie miałem najmniejszéj trudności. Zapytałem kelnera, i ten mi powiedział:

— Jacek Jaksa Jaksiński, porucznik...

— Jakiego wojska?...

Kelner ścisnął ramionami i odrzekł pocichu:

— Zdaje się tego, co się ma na księżycu formować... Wszyscy go tytułują porucznikiem i tyle...

— Czemże się trudni?...—zapytałem.

— A czemby się miał trudnić!.. Niczém... gra w bilard i tyle...

Zaledwie te informacye powziąłem, pan Jacek usiadł obok mnie na ławce, ale tak blisko, żem się musiał posunąć.

— Czego uciekasz? — rzekł — czy to ja taki straszny? czy się mnie boisz?...

— Nie...—odrzekłem—Przeciwnie... Chciałbym się zapoznać z panem porucznikiem...

Porucznik poprawił wąsa i chrząknął.

— A dla czego chciałbyś się zapoznać?...

— Dla tego, że pan Niemcom palce parzysz...

— Parzę, żeby w palce dmuchali... Héj, kelner!... wirsztlów i piwa!...

Gdy mu co żądał zostało przyniesioném, zwrócił mowę do mnie:

— Te szelmy jedno co mają dobrego, to wirsztle... Bo piwo, to świństwo... Człek się musi świństwem zalewać, bo i cóż ma robić!.. Jak się nazywasz?...

— Stanisław R.

— Szambelanic?..

— Do usług pana porucznika...

— A... — rzekł, odgryzając kęs kiełbaski.

— Szkoda żem cię dawniéj nie znał... Byłbym ci pomógł tych kpów spytlować...

Domyśliłem się, że to powiedzenie ściągało się do mojéj awantury.

Ale... — dodał połknąwszy — lepiéj późno jak nigdy... Ty potrzebujesz mieć przy sobie guwernera, ja potrzebuję być przy kimś guwernerem: możemy się skojarzyć...

— Najchętniéj... — odparłem.

— Moim fachem jest, uczyć durniów...

Nie nader mile zabrzmiały mi w uszach ostatnie wyrazy, które taką miały minę, jakby się wprost do mojéj ściągały osoby. W dalszym jednakże ciągu poznałem, że to nie o mnie chodzi.

— Jużem nie jednego nauczył rozumu... a tobie potrzeba kogoś za plecami, któryby za ciebie palcem ludziom pod nos kiwał... Nie prawdaż?...

Kiwnąłem głową na znak potwierdzenia. Zrobiłem to dla tego, że nie chciałem z panem Jackiem w dyskusję się wdawać.

— Więc jutro sprowadzam się do ciebie, ale musisz mi sto reńskich na zadatek przyjaźni natychmiast wyliczyć... Bo ja nie lubię rzeczy przez pół robić... Albo tak, albo owak... Będę cię niańczył, ażebyś „o ostry kamień nie zawadził nogą;“ ale musisz mi z góry (tu palcem po stole stukał) dać sto złotych, albo kwita z przyjaźni... Ja taki człowiek: jak powiem „daj“ i nie dostanę, to rżnę w pysk i kwita... Ja nie pozwalam żartów z sobą stroić... Zobaczysz... No, a teraz sto reńskich na stół i jutro sprowadzam się do ciebie... Może nie masz przy sobie?... to zapłać za piwo i wirsztle i pójdziemy do ciebie...

Nazwijcie mnie osłem, błaznem, nie wiem czém. Zapłaciłem rachunek pana Jacka w kawiarni, wstałem, udaliśmy się razem do mego pomieszkania i wyliczyłem mu żądaną kwotę.

— Nie chciałem brać od ciebie więcéj... — rzekł pan Jacek, chowając pieniądze — bo ja nie jestem z tych ludzi, co to, jak się im gratka trafi, drą łyko do żywego... Ja jestem bardzo wyrozumiały... Dobra noc...

I wyszedł.

Gdy wyszedł, rozmyślałem nad tém co się stało. Rozum mi radził, nie wdawać się w bliższe stosunki z tym, który nie mógł być czém innem, jeno rycerzem lekkiego przemysłu. Serce jednakże — bo nic innego tylko serce — głuszyło głos rozumu, a wyobraźnia malowała mi takie ciekawe i ponętne obrazy, w których postać pana Jacka grała bohaterską rolę, że postanowiłem przyjąć tego improwizowanego guwernera.

Nazajutrz pan Jacek zainstalował się u mnie, kiedy jeszcze w łóżku leżałem.

— A widzisz — rzekł wchodząc — że umiem słowa dotrzymać... O! u mnie słowo, rzecz święta; jak powiem „tak“, to tak, jak powiem „nie“, to nie... Cóż myślisz z sobą robić?...

— Czekam na listy od rodziców... — odrzekłem.

— A, rozumiem... Musiałeś się djable wyszastać... Masz długi, czy jeszcze nie?..

— Nie .. — odpowiedziałem.

— Jeszcze nie... —Na „jeszcze“ opierał akcent.— Człowiek bez długów jest jak sałata bez pieprzu... Cała sztuka na tém, ażeby umieć je płacić... Na tém cała sztuka: bo zrobić dług łatwo, ale zapłacić?... nie tak łatwo jak komu wydaje... Ha!.. Trzeba umieć... Z durniami dzieje się według przysłowia: „kto nie ma złota, miedzi, płaci tém czém siedzi“, ale człowiek co ma rozum, umie téj nieprzyjemności uniknąć... Spuść się na mnie i długów się nie lękaj...

— Wszelako, panie poruczniku... -- odpowiedziałem.

Wyciągnął rękę, przerywając mi:

— Tylko, niech pomiędzy nami nie będzie tego „panie“... Ja tego nie lubię... Z kim jestem dobrze, to już dobrze, i lubię kiedy mnie nazywa poprostu „Jacku“, albo jeszcze lepiéj „Jakso“, bo to mi przypomina Ajaksa, greckiego króla, od którego moja familija pochodzi... W prostéj linji pochodzę od Ajaksa i mam prawo do tronu greckiego... Kiedym był w Paryżu, chciałem tego prawa dochodzić, chciałem sułtanowi wytoczyć proces o Grecyą, ale na to potrzeba dużo pieniędzy...

— Byłeś w Paryżu?... — zapytałem z ciekawością.

— No, otóż pytanie!... Jakżebym miał nie być?... Przecież to Francuz naprowadził mnie na tę myśl, że pomiędzy Jaksą Jaksińskim a Ajaksem zachodzi wielkie podobieństwo... On mi pierwszy o tym Ajaksie nagadał, twierdząc, że we mnie znajduje familijne podobieństwo... — Francuz nie gadałby tak, na wiatr...

— Więc po francuzku musisz mówić jak Francuz?... —zapytałem, powodowany jeszcze tą studencką ciekawiścią, która wiadomości drugich do własnych rada przymierzać.

— No, a jakżebym miał nie umieć!... — była natychmiastowa odpowiedź — Parluję nie jak Francuz, ale jak rodowity Paryżanin... Bo trzeba żebyś wiedział, że Paryżanin do Francuza podobny jak pięść do nosa... Jak tam pojedziemy, to się przekonasz...

— Jak pojedziemy?... Czyż pojedziemy?... — rzekłem niechcący

— Spuść się na mnie... To już moja w tém głowa... Byle ci tylko tatuńcio pieniędzy jak najwięcéj przysyłał.

Spuściłem głowę i zadumałem się.

— Ile ci stary dawał?...

— Nic mi nie dawał...

— No?... to mi się podoba!... A jakże to było? ..

— Dawał mi adwokat K., który ojcu memu rachunki posyłał...

— To wszystko jedno... adwokat? ojciec? stryjaszek? dziadunio?.. byle dawał...

— Nie wszystko jedno...—podchwyciłem—K., trzyma się litery poleceń; pisałem więc do domu i teraz czekam na listy od ojca...

— A jakiego masz ojca?...

— Mam ojca takiego jak każdy... — odpowiedziałem zdziwiony zapytaniem.

— To jest: czy stary sknera?

— Nie...

— To dobrze... Czy zrzęda?...

— Nie...

— I to dobrze... Czy cię trzyma krótko?...

— Nie...

— To także dobrze... Czy nudziarz? czy lubi pleść głupstwa, które nazywa morałami?...

— Nie...

— No, to najlepiéj... To taką rzeczą masz ojca, którego można przewracać i wywracać, jak szewc skórę... Taki ojciec najlepszy, bo z takim da się wszystko zrobić... A matka? wszakże musisz mieć i matkę?...

— Matka mnie bardzo kocha...—odrzekłem, chcąc jak najprędzéj położyć téj indagacyi koniec.

— Oho!... a do tego możeś jeszcze jedynak?

— Jedynak...

— No... to wybierajże się do Paryża... Trzeba przecież, żebyś poznał trochę świata... Ja ci dam go poznać... Nie będziesz żałował....

Niezmiernie mi się to podobało. Być w Paryżu? — dla mnie, skąpanego w atmosferze wielkiego świata, znaczyło tyle, co dla Turka być w Mekce u grobu proroka. Rozradowałem się więc na tę myśl, lecz natychmiast zajrzała mi do głowy rozwaga. Posmutniałem więc w duchu i powiedziałem:

— Czyż to tak łatwo!...

— Spuść się na mnie...—odparł Jaksa.

— Muszę jednakże czekać na list od ojca...

— Poczekamy... Nie ma się czego spieszyć... Trzeba żeby tatko dobrodziéj wyzłocił nam kieszenie... Tymczasem, dziś wieczorem pójdziemy na teatr... Będą pokazywali sztuki, między innemi ma się produkować jakiś Hiszpan, z atletyczną siłą; będzie, słyszę, wyzywał do spróbowania się... Nagroda, sto dukatów... Muszę ja zobaczyć, co to za atleta...

To powiedziawszy, nałożył sobie fajkę, zapalił i wyszedł, zostawiwszy mnie wpół odurzonego tém wszystkiém com od niego słyszał. Wyszedł i nie powrócił aż nad wieczorem.

— Stęskniłeś się za mną... he?...—zapytał.—Nie jestem ja je-

dnym z tych nudnych guwernerów, co to mają głupi zwyczaj deptać swoich elewów po piętach... O! nie... Będziesz ze mnie kontent... Chodźmy do teatru...

Poszliśmy. Wzięliśmy bilety na parterowe krzesła, tuż za orkiestrą. Jaksa koniecznie chciał siedzieć w pierwszym rzędzie, ażeby, jak powiadał, blizko się téj sile przypatrzeć.

Co za sztuki pokazywali—tego dziś już nie pamiętam. Tyle od tego czasu lat upłynęło! Ale to sobie doskonale przypominam, jak za każdém sprodukowaniem się atlety, siedzący obok mnie Jaksa pod nosem powtarzał:

— Szelma...

Kiedy atleta wyzywał z pomiędzy publiczności, czy kto nie zechce z nim się spróbować i sto dukatów zwycięzcy obiecywał, Jaksa zębami zgrzytnął i szepnął:

— Psia mu mać...

Lecz przyszedł taki ustęp. Atleta oparł się plecami o ścianę z desek i—wyciągnąwszy ręce, ogłosił, że kto go z miejsca ruszy, dostanie sto dukatów.

— A, co to, to za wiele...—rzekł Jaksa półgłosem; a wstając i głos podnosząc, dodał:

— Niech no ja spróbuję...

Oczy wszystkich widzów zwróciły się na Jaksę, który, przełażąc jak przez płoty, przez krzesła i baryery teatralne, w najprostszéj linji zmierzał na scenę. Zrobiło się cicho. Mnie serce niespokojnie zabiło, bo mnie ten człowiek interesował. Atleta zapraszał go uśmiechem i ręce mu podawał z miną taką, jakby był swego najpewniejszym. Jaksa stanął przed nim, wziął się w boki, zmierzył przeciwnika od stóp do głowy, wziął go za ręce, pociągnął trochę, jakby na próbę, potém przybrał postawę—prawą nogę naprzód wyciągnął, lewą w tył cofnął, — ujął atletę silnie za ręce, naprężył się, w tył się podał, szarpnął i... nagle, rozległ się trzask, a wraz z trzaskiem, na środek sceny, runął na wznak Jaksa, na Jaksę atleta, na atletę kilka desek i słup, na deski dwóch ludzi. Jak się pokazało, atleta oparłszy się plecami o ścianę, przez szparę od desek był ujęty za pasek haczykiem, który był przytwierdzony do słupa, a słup, dla większéj pewności, trzymany był przez dwóch umyślnie za ścianą postawionych ludzi. Jaksa przeto, pociągnąwszy Hiszpana, wyrwał z nim razem ścianę, wywalił słup i pociągnął dwóch jego spólników.

Można sobie wyobrazić, co za oklaski wywołał ten jego czyn. Hiszpan zawstydzony umknął ze sceny. Jaksa, kulejąc i za głowę się trzymając, opuścił teatr. Ale wygrał sto dukatów.

List mego ojca był i gniewny i czuły. Nazwany w nim byłem występnym synem, niewdzięczném dzieckiem i zbłąkaną owieczką. Ojciec pisał, żem mu zatruł życie, lecz dodawał, że w mojéj jest mocy truciznę przemienić w nektar, w ambrozyą. Jako wstęp do téj przemiany, miał być mój powrót do Kopystyńca. Z powodu tego powrotu ojciec zacytował ustęp z pisma świętego, w którym się mówi o radości, jaka będzie pomiędzy aniołami bożymi, nad jedną zgubioną a odszukaną owieczką. Matka także pisała ale krótko. Przesyłała mi macierzyńskie błogosławieństwo i zaklinała, ażebym jak najprędzéj powracał.

— Co stary pisze?...—zapytał Jaksa.

— Czytaj...—odrzekłem i list mu podałem.

Przeczytał, rzucił list na stół i powiedział:

— Dureń...

— Proszę ciebie—zareklamowałem—odzywaj się z większém przy mnie o moim ojcu uszanowaniem... Ja go kocham i szanuję...

— Tra la la?...—podchwycił.—A to kochaj go sobie i szanuj... To nic nie przeszkadza, żebyś nie miał wiedzieć, czy ojciec twój ma rozum czy nie... Wszakże można i durnia kochać i szanować, zwłaszcza jeżeli jest ojcem... Ja rozumiem i uznaję synowskie przywiązanie i bardzo je pochwalam... Bądź pewny, że gdybym w tobie spostrzegł brak tego przywiązania, to nazwałbym durniem ciebie...

— Ależ przecie nie znasz mego ojca... — wtrąciłem, chcąc mu dać przez to do poznania, że nie można wyrokować o rozumie nieznajomego człowieka.

— A list?... — odrzekł — Cóż ty myślisz, czy to mi potrzeba koniecznie twemu tatkowi w ślipie patrzeć, ażeby o jego mądrości sądzić! Przeczytałem list i więcéj nie trzeba... Na całym arkuszu tyle stary nagromadził głupstw, że możnaby niemi kilku ludzi obdzielić i każdy miałby dość...

Odemknąłem usta, chcąc rozumu mego rodzica bronić, lecz Jaksa nie dał mi do słowa przyjść.

— Bo do czegoż to podobne? ta cała pisanina?... Nabazgrał i kontent; myśli, że ciebie rozczuli albo przekona... Miałbym cię za cztery litery, gdybyś wziął tę bazgraninę na serio...

Na takie *dictum acerbum* nie miałem odpowiedzi. Co to, proszę, miłość własna! wolałem ażeby nie na mnie a na ojca spadło posądzenie o brak rozumu. Pomilczawszy tedy przez chwilę, zapytałem:

— Cóż ja odpiszę?...

— A to ciekawa rzecz!... nie wiesz co odpisać?... Odpisz, że to wszystko prawda, coś wyczytał w liście ojca, ale potrzebujesz pieniędzy... Ojciec ci napisze o szanowaniu grosza, o potrzebie oszczędności... Ty jemu odpisz, że to wszystko prawda, ale potrzebujesz pieniędzy... Ojciec ci napisze o okropnych skutkach marnotrawstwa... Ty jemu odpisz, że to wszystko prawda, ale potrzebujesz pieniędzy... Niech wyrazy potrzebuję „pieniędzy“ będą w twoich listach do rodziców tém, czém wyrazy „*delenda Carthago*“ były w ustach jakiegoś tam rzymskiego ministra czy senatora...

Odpisałem tedy. Nie trzymałem się literalnie instrukcji, jaką mi dał Jaksa i dobrze na tém wyszedłem. Opisałem całe zajście z którego wykluł się pojedynek, wytłumaczyłem całą rzecz, zamilczając o Emilce, i doczekałem się odpowiedzi, w któréj już ani słowa nie było o występnym synu i zbłąkanéj owieczce. Odpowiedzi towarzyszyła pewna, krągła kwota. Ale, żem w liście moim napomknął o Paryżu, więc i ojciec i w przypisku matka, ze szczególnym naciskiem, wzywali mnie do Kopystyńca. Zaklinali pod błogosławieństwem.

Listu tego nie dałem Jaksie do czytania. Na zapytanie jego:

— Cóż tedy?...

Odpowiedziałem:

— Ojciec wzywa mnie do Kopystyniec... pisze że chory...

Istotnie, ojciec pisał o tém; lecz brałem to, jako pewien rodzaj figury retorycznéj, mającéj na celu przekonanie mnie o konieczności spiesznego powrotu. Niestety! nie była to figura retoryczna.

— A pieniądze?...

— Przysłał...

— To grunt, reszta głupstwo...

To mnie rozgniewało. Więc odrzekłem:

— Zdrowie mego ojca dla mnie nie głupstwo... Pojadę do Kopystyniec...

— Ehe!.. *Kudy naszi*!... zawołał przeciągle, z uśmiechem Jaksa.—Z jakiego to wysokiego tonu pan Stanisław bierze!... Ale, mój Stasieńku! ja ciebie kocham nad życie i pojadę z tobą do twoich Kopystyniec... Wszelka droga prowadzi do Rzymu, to i na Kopystyniec do Paryża zajedziemy... Zresztą chce mi się trochę wiejskiém odetchnąć powietrzem... Napiszże, że towarzyszyć ci będzie twój przyjaciel Jacek Jaksa z Ajaksów Jaksiński, kapitan...

— Kapitan?...—zapytałem ze zdziwieniem.

— No, alboż co!... Czyż to nie mógłbym być kapitanem!... Kiedy we Lwowie jestem porucznikiem, to śmiało na wsi awansować mogę na kapitana...

Poprawił wąsy i począł sobie pod nosem nucić nutę piosnki: „Już księżyc zaszedł psy się uśpiły“ etc.

Nie wiedziałem co z tym fantem robić. Znając moich rodziców, nie chciało mi się takiego paliwodę do domu im przywozić. Po co on do Kopystyniec?—do téj cichéj wioski, która mnie, dla którego Lwów był wielkim światem, wydawała się pewnym rodzajem grobu — nie dopieroż jemu, który bywał na rzeczywiście wielkim świecie. Grób ten zresztą miał dla mnie pewien urok. W nim mieszkali moi rodzice — a ja ich kochałem. Z drugiéj znów strony, wspomnienie Emilki pędziło mnie do ciszy, do spokoju. Lecz, cóż będzie tam robił on?—on, który życie spędził na szerokim świecie?...

Jak jednakże Jaksa spędził życie?— było to dla mnie i pozostało nierozwiązaną zagadką. Miał zwyczaj dużo o sobie mówić. „Ja“ ciągle mu na języku wisiało. Lecz zkąd się to „ja“ wzięło? przez jakie przechodziło koleje? — o tém się z jego gadania dowiedzieć byłaby sztuka. Zdawało się, że nie było takiego zakątka na kuli ziemskiéj, do któregoby przynajmniéj nie zajrzał; nie było takiego języka, którymby nie mówił. Wszystko znał, o wszystkiém wiedział, nad wszystkiém panował, potęgą swego „ja“ — nie było człowieka któregoby nie miał za durnia. Z drugiéj jednakże strony, po dłuższém z nim obcowaniu, coś mi mówiło, ażeby do jego opowiadań nie przywiązywać bezwarunkowéj wiary. Postrzegłem bowiem, że jeżeli wprost nie kłamał, to przesadzał. I tak np: twierdził, że umie po francuzku, jak Paryżanin, a przekonałem się, że wcale słabiutko włada nadsekwańskim językiem. O wypadku z atletą opowiadał, jakoby wywrócił słup półłokciowéj grubości i zwalił dwunastu ludzi, którzy Hiszpana trzymali. Powiadał, że zakład szedł o tysiąc dukatów, które i on i Hiszpan na stole położyli. To zdarzenie miało kilkaset świadków. Nakoniec awansował siebie na kapitana. Zebrawszy więc to wszystko razem, prawdomówność mego przyjaciela była więcéj niż podejrzaną. Pomimo to, miał ten człowiek w sobie coś, co mnie do niego przywiązywało. Może to, że mi nie deptał po piętach — że, mając go za towarzysza,

i nie czułem bynajmniéj ciężaru nieodstępności. Jaksa zostawiał m swobodne i dowolne moim czasem rozporządzenie i tylko wtenczas właśnie zjawiał się obok mnie, kiedy potrzebowałem rozrywki. Był więc towarzyszem, czyli, jak sam siebie mianował, guwernerem bardzo wygodnym, ale we Lwowie, nie zaś w Kopystyńcach, gdzie, zdawało mi się, będzie tém, co to nazywają zawalidrogą. Chciałem się przeto z nim rozstać.

— Będziesz się w Kopystyńcach nudził... powiedziałem mu w rodzaju przestrogi.

— To ty mnie jeszcze nie znasz, mój kochany... — odpowiedział — Ja nigdzie się nie nudzę... Nudzą się tylko kpy, którym koniecznie potrzeba kogoś i czegoś, jak dzieciom lalek do zabawki... Ja się nie nudzę nawet sam z sobą... Zamknij mnie na cztery zamki w ciemnym lochu, a i tam będę się wybornie bawił... Ja taki człowiek...

Nie było na to co odpowiedzieć.

— A przytém... — ciągnął daléj — ty zagrzązłbyś w twoich Kopystyńcach... N i e dałbyś sobie bezemnie rady... Ja chcę koniecznie powieźć ciebie do Paryża.... Tylko napisz do twoich starych o Jacku Jaksie z Ajaksów Jaksińskim, kapitanie...

Napisałem — i zaczęliśmy się wybierać w podróż. Jaksa sprawił sobie garderobę. Nie trzymał się mody. Kazał sobie poszyć odzież, z któréj przeglądał mundur; tyle w niéj było szamerowań, sznurów, lampasów i kutasów. Kutasy i sznury były nawet przy szlafroku. Przytém pokupował sobie różne porządki: węgierski kapciuch, kilka fajek, pomiędzy któremi były porcelanowe z malowaniami i piankowe z rzeźbą, w irchę zaszyte, kilka krótkich cybuszków z kutasikami, nóż z trybuszonem sztucznie zamykany, przyrządy do golenia misternie rzeźbione, piórka d o dłubania w zębach, w paciorki obszyte i wiele innych drobiazgów, na które wydać musiał dużo pieniędzy, prawie wszystko co dostał za rozwalenie ściany w teatrze. A gdy się zupełnie, jak powiadał, „oporządził,“ ruszyliśmy w drogę.

Nie będę się rozwodził nad podróżą. To chyba tylko o niéj powiem, że odbyła się wygodnie, bo Jaksa umiał rozkazywać i kazać się słuchać; zabawnie, bo na każdym popasie i noclegu płatał żydom psoty, lub prowadził z nimi rozmowy, od których nieraz boki ze śmiechu zrywałem. Miszuresy chodzili przed nim jak po linie. Poważni zaś żydzi i poważne żydówki, spoglądali na niego basem, ze strachem i uszanowaniem. Gdzie bowiem tylko przyjechał, na samym wstępie miał zwyczaj sprodukować swoję ogromną siłę. I tak naprzykład. W jedném miejscu brama wjazdowa nie chciała się odemknąć. Osunął się podobno zawias. Miszuresy i kilkunastu innych żydów zbiegli się do niéj, szarpali, popychali i nic poradzić nie mogli, a my tymczasem czekaliśmy na otwarcie.

— Otwierajciesz tam!... — krzyknął Jaksa.

— Ny, kiedy brama nie chce...—odpowiedział miszures.

— To jéj poproście pięknie, a jeżeli prosby nie posłucha, wyrzućcie szelmę!...

— Kiedyż nie można...

— Czemu?...

— Bo nie chce...

— A niechno ja ją poproszę...

Wyszedł z bryki, podszedł do bramy, ujął ją silnie rękami, podniósł do góry, wysadził z zawiasów, odniósł na stronę i rzucił. Żydzi gęby na to pootwierali.

Natrętów, którzy po wszystkich miasteczkach całemi zbiegali się kupami, proponując na sprzedaż różne rzeczy, nigdy inaczéj nie wypraszał, tylko brał jedną ręką za kołnierz, podnosił, wynosił w powietrzu aż na ulicę i tam rzucał. Robił to z całym spokojem, bez gniewu, nawet z uśmiechem na ustach i pytał:

— A dobrze ci tak?...

Z tego powodu usługa po zajazdach wysilała się dla nas na całą zręczność, a gospodarze byli nadzwyczaj uprzejmi. Z gospodarzami Jaksa przy pożegnaniu zawsze się uściskał, brał ich w ramiona, podnosił do góry i łokciami ziobra im ugniatał. A gdy to czynił, z ust żyda wypływały kolejno, coraz to bardziéj podniesionym wymawiane głosem, wyrazy:

— Wielmożny panie!... ny!... co pan robi!... aj!!!... gwałt!!!... uuu!!!...

Twarz posiniała, oczy krwią nabiegały, gęba się szeroko odmykała.

Jaksa stawiał go wówczas na ziemi, odchodził spokojnie do bryki i z bryki słał całéj rodzinie życzenia zdrowia, długiego życia i wszelakiego powodzenia. Na te życzenia otrzymywaliśmy w odpowiedzi klątwę żyda obmacowywającego swoje ziobra.

— *Na bezhołowla tobi!...* bodajeś na pierwszym mostku kark skręcił!...

Klątwa ta powtarzała się tyle prawie razy, ile mieliśmy popasów i noclegów. Jednakże nie skutkowała. Bez żadnego wypadku zajechaliśmy do Kopystyniec.

(*d. c. n.*)



NAPOLEON I. UMIERAJĄCY.

Wizerunek rzeźby artysty włoskiego Wincentego Veli.

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою. 5 (17) Апрѣля 1871 г. — Redaktor, Stanisławski Oskar.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. *b*.